

Z „Dybukiem” jest trochę tak, jak z „Dziadami”. Nie da się wystawić jakiegoś jednego, modelowego spektaklu, który wykorzystałby całe bogactwo zawartych w dramacie interpretacyjnych znaczeń. Inscenizator musi zdecydować się na jakiś wybór z całą świadomością konsekwencji tego faktu.

Waldemar Zawodziński, reżyser łódzkiego „Dybuka” usiłuje zachować, chwilami chwiejną, równowagę między egzotyką i odrębnością żydowskiej kultury, a tkwiącymi w niej wartościami uniwersalnymi. Jest więc i fascynacja magią chasydzkiego świata zaakcentowana piękną muzyką Piotra Hertla, mistyczną scenografią i plastyką scen zbiorowych - niepowtarzalnego klimatu. Ale też nieustannie nakładają się na ten odbiór, choć to bardziej chyba za sprawą szkolnych lektur - aluzje do wielkich tradycji kultury europejskiej: od greckiego Fatum poczynając przez mistyków średniowiecza aż po mity romantyczne. Dzięki temu, to co chasydzkie wydaje się wciąż żywotne, nie pozbawione szansy autentycznego przeżycia.

Między fascynacją a ironią

Przyznam, że obawiałam się trochę, by przypadkiem nie okazał się „Dybuk” kolejną akademią ku czci... Jakaś zimna, muzealna apoteoza ginącego świata. Rocznicą powstania w getcie takie niebezpieczeństwo mogła sugerować. Szczęśliwie tak się nie stało! Ba! To bynajmniej nie zbieg okoliczności, że najbardziej sugestywnie wypadły m.in. sceny opowieści o cadykach-cudotwórcach. To wzajemne przekrzykiwanie się, nadekspresja, karykatura... Albo momenty zwątpienia rebe Azriela (najlepsze partie roli Piotra Krukowskiego),

czy choćby mocno eksponowane słabości ludzkiej natury, zwłaszcza pychy i sprzeniewierzenia się przeznaczeniu. Takie podkreślanie wysychających źródeł religijności chasydzkiej, drążącego tę formację kryzysu, kontrastowanie popolitości człowieka i wagi jego czynów - pozwala przypuszczać, że oto do głosu dochodzi, przy całym szacunku dla tej kultury, zbawienny dystans. Fascynacja, ale i ironia zarazem. Także, o ile dobrze myślę, w scenografii, że wymienię trzy intrygujące, dziwacznie uskrzydłone postaci i ich spo-

wolnione ruchy. To już nie jest bezkrytyczna rekonstrukcja folkloru żydowskiego, ale przejaw stosunku realizatorów - gojów do zjawiska pt. „Żydzi”. I to wydaje mi się ważne. Jak dziś w dobie szalejących nacjonalizmów postrzegamy ludzi odmiennych wyznań i zwyczajów? Na co nas wobec nich stać?

Niestety w ślad za tak pomyślaną inscenizacją nie poszła gra niektórych aktorów. Poza wspomnianymi momentami, ujawniającymi ludzką małość bohaterów zupełnie nie przemówiły do mnie np. fragmenty „Pieśni nad Pieśniami”. Chanan Bogusława Suszki sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie odczuwał melodyjności Miłoszowego przekładu tej arcyepopejki. Niedostatecznie też udramatyzował przelastaczanie się pobożnego chasyda w bluźnierczego kabalistę. O roli Henocha, jego przyjaciela, w wykonaniu Marka Kasprzyka lepiej przemilczeć. Lepiej, wiarygodniej wypadła Agnieszka Kowalska jako Lea w scenach egzorcyzmów i zwłaszcza w końcowej: odejścia z Chananiem w zaświaty, nie bardzo natomiast obroniła się w roli zakochanej Żydówki. Zanedo egzaltowana, nieobecna duchem, sztuczna. Mocniejszej, reżyserskiej ręki przydałoby się pozostałym aktorom, no z wyjątkiem może Andrzeja Mastalerza (Menasze).



Scena z „Dybuka” wg S. An-skiego w reż W. Zawodzińskiego. Na fotografi (od lewej) Piotr Krukowski i Bogusław Sochnacki.

Foto: R. SAKOWICZ.

MARIOLA WIKTOR